ROK PIĄTY.

№ 5.

WARSZAWA

d. 17 (29 stycznia)

1860.

REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

4ta po Trzech Królach.



„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wszyscyśmy jednego Pana słudzy, jednemi pieniędzmi kupieni jesteśmy, jednako na świat idziem, jednako schodzim. A jeśli dobrze czynim, zaraz do jednego błogosławieństwa wnijdziem. Czemuż ubogi z tobą pokarmu brać nie ma, który z tobą królestwo niebieskie weźmie. (*Czytania Bractwa miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę.*)

Ś. Weronika.

Ś. Weronika urodziła się we Włoszech niedaleko Medjolanu, z biednych rodziców. Nie mieli oni majątku, ale mieli bojaźń Bożą, która jest większą nad wszystkie skarby. Niedostatek, w jakim byli, nie dozwolił im oddawać córki do szkoły. Weronika nie umiała czytać ani pisać, ale umiała służyć Bogu od kolebki swojej, miała w domu wzory cnót, które się odbiły w jej sercu. Modlitwa była jej największą rozkoszą, a tak dusza jej karmiona tą niebieską manną, nabierała stopniowo sił nowych.

Obowiązki jednak pobożności wypełniane przez nią tak ściśle, nie przeszkadzały wykonywaniu powinności jej stanu; pracowała z zapałem i była posłuszną rodzicom i panom swoim. Ujmowała towarzyszki swoje słodyczą charakteru, i uważała się zawsze za ostatnią z nich. Myśl jej i serce zwrócone były ustawicznie ku niebu; gdy poszła do roboty w pole, oddzielała się zwykle osobno, aby mniej miała roztargnienia i swobodniej mogła wznosić myśli do Boga, swego niebieskiego oblubieńca; miłość ta jednak samotności nie miała w sobie nic przykrego dla innych. Wracała ona zawsze do swych towarzyszek ze słodką pogodą rozlaną na twarzy, łzy tylko często rosiły jej źrenice; ale łez tych swiętych nikt nie znał przyczyny.

Weronika czuła niepohamowany pociąg do życia klasztornego i postanowiła wstąpić do klasztoru Augustyanek Ś Marty w Medjolanie, zakonu bardzo srogiej reguły. Ale na nieszczęście nie umiała czytać ani pisać; dnie więc i noce trawiła na nauce, postanowiła sama się nauczyć i dokonała tego. I dopiero teraz przyjęto ją do klasztoru Ś. Marty, gdzie niebawem odznaczyła się żarliwością i ścisłością w zachowywaniu reguły zakonnej.

Spodobało się Bogu doświadczyć cierpliwości wiernej swojej służebnicy przez chorobę, która ją nie opuszczała przez lat 3. Ale Weronika nie ustawała w swej gorliwości o

zbawienie duszy. Największą jej rozkoszą było usługiwać innym w najtrudniejszych i naj niższych posługach; żyła tylko chlebem i wodą. Serce jej było ciągle z Bogiem, a modlitwie towarzyszyły łzy, które prawie nigdy nie wysychały w jej źrenicach.

Dar ten łez błogosławionych i modlitwy nawodził ją do rozpamiętywania własnych ułomności, miłości Bożej, męki Zbawiciela i niewypowiedzianych rozkoszy nieba. Mimo czystości i niewinności swojej, Weronika mawiała o swych niedoskonałościach z boleścią i pokorą. Mowa jej miała tyle namaszczenia, że najzakamienialszych grzeszników wzruszała. Życiem też takiem ściągała na siebie błogosławieństwa niebios. Umarła w 52 roku życia swego. Leon X papież uznał ją za błogosławioną, a Benedykt XIV r. 1749 wniósł jej imię w poczet świętych.

Uroczystość tej świętej kościół obchodzi w dniu 13 Stycznia.

Stara Prządka.

Było to w słotnej jesiennej porze:
Niebo czerniało chmurami,
Deszcz przejmujący pluskał na dworze,
Wiatrz zimny dzwonił szybami.
Lecz w ciepłej chatce słomą pokrytej,
Co stała wpośrodku wioski,
Chociaż to w porze w nudy obfitej,
Zniknęły smutek i troski.
Wkoło ogniska, co z trzaskiem płonie
Zasiadły niewiasty z przędzą,
I rade swojej ciepłej ochronie,
Śmieją się, szepczą, gawędzą.
Oblana jasnym blaskiem płomienia
Z trzasek smolnego łuczywa,
Budząc dawniejszych latek wspomnienia,
Siedzi Sobkowa sędziwa;
A choć jak mleko włos jej się bieli
Nad czołem wiekiem zmarszczonem,
Dość jeszcze raźno przy swej kądzieli
W palcach wykręca wrzecionem.
Twarz jej pokojem błogim jaśnieje,
Mnóstwo ma gadek w pamięci:
Z starym gawędzi, z młodym się śmieje,
Każdego w pracy zachęci.
A chociaż stare rzeczy pamięta,
Nie gdérze na młodych ludzi,
Lecz kocha wszystkich jak swe wnuczęta,
Uczy, pociesza, nie nudzi.
Z sercem jednakiem jak była zmłodu,
Przyjmie, co tylko Bóg zdarzy,
Nic też dziwnego, że jak do miodu,
Lgną do niej młodzi i starzy.
Jednak w jej cichy żywot niewieści
Niejedna troska się wkradła,
A po jej licu w ciężkiej boleści
Niejedna krwawa łza spadła.
Lecz je przeniosła w świętej pokorze,
Panując nad swym mozołem,
Wiedząc, że skargą bólu nie zmoże,
Że ziemia płaczu padołem.
Ależ ją za to w lata sędziwe
Liczne pociechy bogacą:
Ma raźne syny, córy cnotliwe,
Co jej wdzięcznością trud płacą.
A gdy śmierć przyjdzie za wolą Bożą,
Jeszcze i tem się poszczyci,
Że ją do trumny w koszuli złożą,
Co na nią naprzędła nici;
I pomsta ludzka pociski swemi,
Ścigać nie będzie wspomnienia,
Gdyż z Bogiem w sercu przeszła po ziemi,
Szukając drogi zbawienia.
Bo kto jak ona, w poczciwym trudzie
Żył godnie i pożytecznie,
Tego mogiłę łzą zroszą ludzie,
I Pan Bóg zbawi go wiecznie.

Tracz Rakietnik.

W Warszawie jest kilka miejsc stałych, gdzie w każdej porze dnia można widzieć kilku, a czasem i kilkunastu zdrowych i silnych, chociaż niemłodych już ludzi, z siekierą u pasa i piłą na ramieniu, wyczekujących wezwania do pracy. Są to tak nazwani tracze. Traczem zostaje człowiek, zwykle już szpakowatego włosa, taki, co poprobował i dobrej i złej doli na świecie. A wpatrz się bliżéj w ich oblicza, gdy są zebrani na stałej postójce, a przysłuchaj się rozmowie, w tenczas, kiedy mają czas obszerniej pogaworzyć o tem, co wzajemnie ich dotycze, ujrzysz i usłyszysz więcej, niżeliś się spodziewał. Tutaj uderzy cię

odezwanie się człowieka, co dawniej zapewne traczem nie był, owdzie zobaczysz minę wojacką, chociaż cierpieniem, a może i biedą znękaną, głos czysty i donośny, co dawniej może niejeden wydał rozkaz. Słowem niejednego tracza przeszłość i teraźniejszość, godne są jak zobaczymy, opowiedzenia.

Przy rogu ulicy Mostowej i Freta jest także tego rodzaju uprzywilejowana postójka, gdzie co dzień o bardzo rannej godzinie zbiera ich się tam mniej więcej kompletna liczba. Ponieważ tak tracze jak i wszyscy ludzie dzielą się na porządnych i hultai, tak więc pierwszych jak i drugich z łatwością i tutaj odróżnić można. Tracze moralni, porządni, zwykle zaczynają dzień od chwały Bożej; to też w Po-paulińskim i Dominikańskim kościele z samego rana, najczęściej zaraz po otworzeniu świątyni, ujrzysz ich klęczące postacie i usłyszysz nabożne słowa modlitwy, co ma zanieść dziękczynienie Bogu za troski, któremi ich probuje, i za dary, któremi biednego człowieka obsypywać raczy. Tracze hultaje pierwszą myśl zatapiają w kieliszku; sąsiednie szynkownie jak zrana tak i w każdej porze dnia pochłaniają owoc ich ciężkiej pracy, a rozwijając pochop do lenistwa, kroki biednych tych istot kierują do rozpaczy i szpitala.

Przed niedawnemi czasy, pomiędzy owymi traczami z Mostowej ulicy odznaczał się wszystkiemi przymiotami porządnego człowieka, niejaki Wawrzyniec. Był to człowiek już stary, ale zdrów i silny. Wyniosła postać, wąs siwy, zwisły i nieznający brzytwy, policzki kwitnące życiem, choć poorane zmarszczkami, wejrzenie pogodne chociaż czasami smutne i posępne wyróżniały go od reszty współ-towarzyszów pracy i stanowiły szczególniejsze piętno, po którem zawsze i wszędzie Wawrzyńca Pilickiego poznać było można.

Wawrzyniec szczególniejsze miał zachowanie pomiędzy towarzyszami swego stanu. Był niejako patryarchą i żywym przykładem pracy, rozsądku i uczciwości, był człowiekiem szanowanym od kolegów, poszukiwanym do roboty i mającym się, jak to mówią, dostatnio; bo nietylko sam miał w czem chodzić, gdzie mieszkać i co jeść, nietylko potrzebującemu towarzyszowi w razie wezwania z bezinteresowną pośpieszał pożyczką, ale nadto znano Pilickiego jako człowieka potrzebującego myśleć jeszcze o kimś więcej jak o sobie, a jednak i tym obowiązkom własnemi zabiegami i pracą wystarczającego. Ci z okolicznych mieszkańców, co stale i często potrzebowali robotników do rznięcia drzewa, z Wawrzyńcem raz na zawsze zawierali umowę; on sam dobierał sobie pomocników i przewodnicząc im w pracy, zadawalniał obiedwie strony: bo i robotę z całą skrupulatnością wykonał i wzięte za nią pieniądze sumiennie między towarzyszy rozdzielił, dorzucając każdemu jakąś stosowną uwagę o sposobie ich użycia i odwodząc mianowicie od kieliszka. Pospolicie po nazwisku Wawrzyńca nie nazywano. Ponieważ służył pierwej wojskowo i odznaczył się czynem waleczności w szeregach rakietników, nikt przeto go inaczej nie nazywał, jak Wawrzyńcem *Rakietnikiem*; i Pilicki z tej nazwy był dumny. Często w chwilach wolnych od pracy rozgadał się stary o swoich dawnych czasach; mówił i o późniejszych, o ostatniej mianowicie wojskowej epoce swojego życia i o różnych dziejach niedawnych, które sam własnemi widział oczyma, a które interesowały wszystkich; bo Wawrzyniec opowiedzieć je umiał, bo w każdym jego wyrazie była prawda i prostota myśli. I mina i całe wzięcie Rakietnika przedstawiały człowieka dawniej służącego wojskowo: zawsze pod szyję zapięty, z krótko ostrzyżonym włosem i kurtką pod wierzchnią sukmaną, miał w ogóle, w całem znaczeniu tego wyrazu, postawę odznaczającą się. Na kurtce tej, lub spancerze długim zawsze miał zawieszony krzyż Napoleoński, krzyż otrzymany na polu walki. Wawrzyniec z chlubą rozpowiadał towarzyszom pracy o chwili, w której tę drogą pamiątkę zawieszoną na jego piersi otrzymał. Krzyż przyciskał do piersi i mówił z takim ogniem i mocą, że przyjemnie było posłuchać tego naturalnego opowiadania, i mimowolnie przenosiłeś się myślą w ubiegłe, szczęśliwsze czasy.

O szczegółach, bliżej dotyczących Wawrzyńca, o jego familijnych stosunkach nie wiedziano wiele; Rakietnik pod tym względem zagadkowym był człowiekiem i dziwną jakąś otaczał się tajemniczością. Wiedziano tylko, że ani żony, ani dzieci nie miał, że zajmował dwie szczupłe stancyjki na Przyrynku około Nowego-miasta, i że w tych dwóch

stancyjkach oprócz niego, mieszkała jakaś stara kobieta, i chowało się młode, ładne dziewczątko o modrem oku i ujmującej twarzyczce. W pierwszym roku traczego zawodu Wawrzyńcadziewczątko to mogło mieć około 9 latek. Codziennie w towaszystwie starej kobiety przybiegała Jadwisia najczęściej z jakimś z domu posiłkiem, na róg Mostowej ulicy i niejednę chwilkę przepędziła na kolanach starca, który ją pieścił, całował i dziwna rzecz, inaczej nie nazywał, tylko panienką, lub dobrą, miłą jagódeczką. Towarzysze Wawrzyńca przywykli do małego dziewczątka, także ją nazywali panienką, i czem który mógł, starał się jej przysłużyć lub ubawić. Było tak przez rok czasu, po przejściu którego panienka nagle przestała nawiedzać Wawrzyńca, i tylko mu stara kobieta donosiła z domu strawę.

Gdzie ładna panieneczka? pytali nieraz tracze Wawrzyńca, a Wawrzyniec uśmiechał się mile, zacierał ręce z zadowolnieniem i mówił, że panience już nie służyć staremu, że stary teraz jej służyć będzie, że ona teraz siedzi sobie w domu i uczy się ładnych rzeczy z książki; bo stary musi jej los zapewnić, musi ją jak pańskie dziecko wychować, gdyż przyjdzie czas, w którym go zapytają, co i jak robił z dziewczątkiem. Tracze kiwali głowami i różne czynili domysły, czasami nawet pytali, co to za dziewczątko, i dlaczego się niem tak zajmuje stary; ale stary niewiele odpowiadał na zapytania, a najczęściej zbywał ich poprostu odpowiedzią:

— Eh, co wam tam do tego!

Rok ten upłynął, dziewczątko znowu się zjawiło; ale jakaż odmiana mój Boże!.. tak jakoś wymądrzało, wypiękniało, że niektórzy ledwie poznać mogli Jadwisię; tylko że Jadwisia już nie z dzbanuszkiem przychodziła do starego. Codziennie dwa razy zjawiała się o jednej godzinie, z książkami w woreczku, ubrana w sukienkę zawsze mundurkowego koloru. Wawrzyniec przed nadejściem chwili przechodu dziewczątka na pensyę, zawsze na swojem znajdował się stanowisku. Wychodził o kilkanaście domów na spotkanie Jadwisi, witał ją, jakby po dawnem niewidzeniu, niósł jej worek z książkami i wesół był starowina jak dziecko, bo Jadwisia to istotna pociecha dla wszystkich. Bywało, nie wstydzi się prostej sukmany tracza, bierze go za pas figlarnie, bawi się z siekierą lub piłą, i zawsze na pożegnanie ciągnie go do bramy, wspina się do jego szyi i całuje długi siwy wąs i przygładza mu włosów, i zawsze żegna wyrazem: do widzenia dobry kochany dziadunin, zobaczysz, jak się dzisiaj będę uczyć.. do widzenia... śpieszę, bo już czas. Tak było przez lat trzy. Ale trzy lata w życiu dziewczątka, to cały szereg zmian i na twarzy i we wzroście, i w głowie i w sercu. Jadwisia jak lilija wyrosła; już nie potrzebowała się wspinać do twarzy Wawrzyńca. Bywało bez trudu obejmie jego szyję i całuje w oczy, i zachwala jakąś wygódkę w domu, jakąś przyjemność coraz nową, za które starowina zawsze łajał panienkę, a jednak widać musiał przyjmować.

Po przejściu trzech lat panienka suknię zmieniła; wzięła na głowę kapelusz, inny kolor przywdziała na siebie, i już nie tak często na róg Mostowej ulicy przybiegała. To też staruszek dziwnie posmutniał; tylko gościem zjawiał się wśród traczy i widać bardzo pracował, bo ciągle znużony, ciągle biegający z siekierą i piłą. I nie dziw, bo w dwóch stancyjkach na Przyrynku potrzeby się pomnożyły: stara kobieta umarła, a może i panience czego więcej potrzeba było! O! i wiele innych trosk zwaliło się na wątłe starca ramiona, przygniecione sześcioma krzyżykami lat i zawsze uzbrojone żelazną piłą...

* *
*

Czysto i schludnie, chociaż bardzo ubogo wyglądały stancyjki Rakietnika na Przyrynku. Na oknie ujrzałeś starannie utrzymywane doniczki z kwiatami, stół prostej roboty dębowy, przykryty białem obrusem, krzesełka twarde, łóżko dębowe i twardo posłane dla starca w pierwszym pokoiku, a nie tak proste i nie tak twarde dla panienki w drugiej widniejszej stancyi, stanowiły większą część ruchomości starca i jego panienki. Bardzo już późnym wieczorem, w przeddzień jakiegoś święta siedzieli oboje przy stole. Promienie trzygroszowej świecy niewyraźnie rozwiewały ciemność wieczorną i nie psuły oczu starca, bardzo już nadwątlonych i słabych, ani oczu dziewicy, zapewne jaśniejszych od żyrandoli i kinkietów, co w tę chwilę zapewne tysiączne możnych oświecały salony. Starzec wsparty o ścianę, z upodobaniem się wpatrywał w piękne oblicze Jadwigi; ona

nadzwyczaj prosto i skromnie ubrana, ze słodyczą w ustach i wejrzeniu czytała coś z książki starcowi, a starzec słuchał z natężoną uwagą, prosił o objaśnienia niewyraźnych ustępów, co panna Jadwiga czyniła z przyjemnością i znajomością rzeczy.

Staruszek się zdrzemał.

Dziewica na palcach przesunęła się do sąsiedniego pokoju, przygotowała opiekunowi pościel, zbudziła i ułożyła do spoczynku, z życzeniem dobrej nocy.

Lecz sama nie poszła za jego przykładem. Usiadła na dawnem miejscu, podparła dłoniami głowę i zamyślona długo nieruchomą zachowała postawę; rzekłbyś, gniecie ją jakaś ciężka troska, bo i twarzyczkę dziewicy smutek jakiś pokrył i oko zwilżyło się łezką.

Poskoczyła skwapliwie, lecz Wawrzyniec nie odpowiedział na jej kilka zapytań. Po chwili tylko zaczął coś mówić niewyraźnie przez sen, co zawsze było dowodem osłabienia; Jadwiga przeto postanowiła go nie budzić. Na drugi dzień Wawrzyniec jak zwykle wstał o bardzo rannej godzinie i poszedł do kościoła. Jadwiga chciała mu towarzyszyć, lecz ją skłonił do zostania w domu dla przygotowania śniadania, bo od pewnego czasu gospodarstwo domowe w jej wyłącznie spoczywało ręku.

Lecz bliżej poznajmy młodą panienkę i rozpatrzmy się w jej przeszłości, troskach i obecnym stosunku do starca.

Dziwny zbieg okoliczności uczynił ją prawie sierotą i powierzył opiece zacnego żołnierza. Ojciec Jadwigi w skutek wypadków swojego czasu wyszedł zagranicę, i niepodobna było powziąć o nim żadnej wiadomości. Nie wiedział może, że miał córkę, bo matka dzieweczki dała jej życie już po wyjściu męża z kraju, a umierając wkrótce, zostawiła opiece swego chrzestnego ojca Wawrzyńca. Wawrzyniec stary wojak, lecz biedny człowiek, ciężar opieki nad sierotą przyjął na swoje barki, ze łzą prawdziwego szczęścia w oku; bo trzeba wiedzieć, że i ojca Jadwisi piastował niegdyś na swojem ręku, że patrzył na jego niemowlęctwo i wiek młodzieńczy, że jako sługa i przyjaciel domowy, a dawny jeszcze towarzysz broni dziada Jadwisi, jej ojcu pierwszy przypasał szablę do boku i wyprawił do wojska, że go błogosławił do ślubu ze swoją chrzestną córką, biedną dziewczyną, lecz dziwnie piękną i cnotliwą, że czuwał nad jego dobrem w domu, a później nad nim samym w pułku, do którego stary się zaciągnął. W kilka miesięcy dano mu list od porucznika, w którym ten zlewa nań uroczyście prawa opieki nad wszystkiem, co zostawia tutaj. Wawrzyniec tedy z boleścią w sercu poszedł wioski do porucznika powiedzieć jego żonie, co i jak się stało, lecz jej już nie zastał przy życiu. Umarła, dawszy życie nowej istocie, umarła nawet w obcym domu. Bóg widać czuwał nad Wawrzyńcem, że nie upadł pod brzemieniem tylu ciosów i tylu nieszczęść istot, z któremi go losy oddawna związały, i nietylko nie upadł, lecz nawet jakaś moc dziwna ożywiła starego. Kwiatami wiecznej pamięci posypał grób chrzestnej córki, jej dziecię wyniańczył, wypiastował, jął się siekiery i mozolnej pracy, by je mieć przy boku i pielęgnować; jak zaś temu wszystkiemu podobał, widzieliśmy powyżej. Wawrzyniec gdy Jadwisia przyszła do rozumu, powiedział jej, jak się rzeczy mają, i kim jest rzeczywiście; to też dziewczę oceniło piękną duszę swego opiekuna, ukochało go jak własnego ojca i otoczyło dowodami najtkliwszego przywiązania. Dowody te były tego rodzaju, że osładzały mozolny żywot byłego żołnierza, i były bodźcem do wszystkich z jego strony ofiar. Posyłał dziewczę do szkoły, gdy przyszło do wieku stosownego, zdobył się na opłacanie za nią pensyi, przez lat kilka, słowem Wawrzyniec poświęcił się cały sprawie wychowania panienki, i rzekłbyś instynktem odgadł, w jaki sposób wychowanie to poprowadzić należy. Panienka więc stała się ozdobą jego starości. Gdy już skończyła pensyę, gdy umiała tyle, że i innych nauczać mogła, a tym sposobem ulżyć staruszkowi w utrzymaniu domu, Wawrzyniec nie pozwolił jej ciężko pracować, i mówił, że sam dosyć ma jeszcze siły do pracy na chleb powszedni.

— Jadwisiu, powtarzał staruszek, Pan Bóg się gniewa na tych, co dużo wymagają; nie zbywa nam na kawałku chleba, mamy ciepły i wygodny kącik... gdybyś ty poszła do obcych ludzi, cóżby się ze mną stało? Coby się stało z naszem gospodarstwem, które tak rozumnie prowadzisz, ktoby mi wieczorami czytał i

mówił takie rzeczy, Bóg wie nieoczem, jakich ja nie wiedziałem, a o jakich ty wiesz, boś o nich w mądrych książkach czytała; ktoby wesołość i życie pomiędzy temi czterema białemi ścianami utrzymał?

Jadwisiu, dziecię moje, ty mnie jeszcze nie opuszczaj; byś słabego zdrowia i potrzebujesz mojej opieki.

I stary panienkę całował po głowie, w czoło, a ona go z dziecęcą miłością i posłuszeństwem obejmowała za szyję, łzami obmywała jego białe wąsy, jaśniała jak gwiazda między owemi czterema białemi ścianami na Przyrynku, i była szczęśliwą, bo miała dopiero lat szesnaście, a z światem mało styczności.

Lecz dziewczęciu niedługo myśleć o książeczkach wyłącznie, o starym Wawrzyńcu, o wygodkach dla niego, o kwiatkach, których pełno i na jednem i na drugiem okienku w doniczkach kwitnęło, i o tem, jak w domu małe gospodarstwo prowadzić. Bo Pan Bóg zesłał na oboje próbę, bo dotknął starowinę niespodzianą niemocą; więc brak uczuwać się dawał, brak pierwszych potrzeb życia, a panienka rady dać sobie nie mogła, nie wiedziała, gdzie i jak się obrócić. W domu było pieniędzy bardzo niewiele, a co było, to wyszło na wyżywienie obojga i lekarstwa dla Wawrzyńca w pierwszym tygodniu jego słabości. Panienka stan rzeczy ukrywała przed chorym, ale ukryć go nie mogła przed sobą i przed tymi, co ich nawiedzali. A bardzo szczupłe to było kółko: kilku poczciwych wyrobników, sklepikarz z tegoż samego domu i stróżka, co za miesięcznem wynagrodzeniem nosiła wodę, robiła porządek i pomagała panience gospodarzyć w stancyjkach i na kominku. Wyrobnicy sami byli biednymi i mieli swoje familje; więc tylko sklepikarz prawdziwe okazywał współczucie, a nawet pomny na dawną rzetelność Wawrzyńca, przyrzekł pokredytować do pewnego czasu i upoważnił panienkę, aby posyłała po co potrzeba do sklepiku. Panienka więc bardzo się martwiła, bo staruszek jakkolwiek nie bardzo chory, jednak z domu, a nawet z łóżka wyjść nie mógł, a tu trzeba to tego, to owego; a tu idzie o to, aby przed nim stan rzeczy skrywać, bo starowina mógłby się zmartwić i gorzej jeszcze zaniemódz. Kiedy już pieniędzy zupełnie zabrakło tak, że nazajutrz nie było za co kupić mleka i chleba, stroskana panienka usiadła w pierwszej stancyjce przy oknie, bo w drugiej staruszek spał po lekarstwie, i zapłakała gorzkiemi łzami i modliła się gorąco, cicho, żebrząc zmiłowania Bożego.

W tej chwili przez podwórze przesunął się handlarz, krzycząc, czy kto niema co do sprzedania. Panienka bez wahania zbiegła po schodach na dół i wprowadziła go do stancyjki, z zaleceniem cichej rozmowy, żeby opiekuna nie przebudzić.

— Mam do sprzedania salopkę, może kupisz odemnie? wyrzekła lękliwie, patrząc na niego, i z żalem wyjmując z kuferka jedyne zimowe okrycie. Izraelita obejrzał starannie, pokiwał głową z niechęcią i począł ganić podany sobie, jak mówił łach, chociaż widział, że była to salopka prawie zupełnie nowa.

— Kupić, kupię panienko, ale to niewiele warto... ile mam zapłacić?

— Opiekun mój, dał za nią niedawno 80 złotych, ale ja sprzedam ją za mniej, bo wiem, że i starozakonny musi na niej coś zarobić.

— To się wie... tak... ile mam zapłacić?

— Jabym wzięła 60 złotych.

— Nie kupię, odparł żyd krótko i zabierał się do wyjścia.

— Nie śpiesz się, ja i z tego coś odstąpię; cóż więc ty dać możesz?

— Dam 15 złotych.

Dziewczę z oburzeniem spojrzało na tego człowieka i gniewnie salopkę zaczęło składać.

— Ny, co się gniewać panienko, ja dam może i więcej, po co się gniewać?

— Po co się gniewać, wyrzekło dziewczę ze łzami, po co się gniewać, mówisz przeklęty: chcesz mnie bezczelnie oszukać i zabezcen kupić rzecz, którą mój chory opiekun kupił tak drogo za swoją krwawą pracę; a wiesz ty, że on teraz leży znękany cierpieniem, że niema w domu ani grosza, a tu coś przecież kupić trzeba...

Żyd uśmiechnął się radośnie.

— Kupić, powiadasz panienko, kupić, a za co kupić, kiedy niema ani grosza? ja daję pieniądze, a wiesz panieneczko, co będzie, jak nie weźmiesz tych pieniędzy?.. opiekun gorzej zachoruje, opiekun potem umrze, a panienka .. a panienka będzie miała salopkę.

— Nie mów tego, bierz ją, bierz natychmiast, daj 15 złotych.

Żyd skwapliwie jedną ręką sięgnął po salopkę, a drugą po worek do kieszeni, lecz nim jedno schwycił, a drugiego dostał, drzwi się niespodzianie odemknęły, wszedł jakiś wysoki, piękny mężczyzna w bluzie rzemieślniczej, i z oburzeniem sprowadził na dół handlarza. Jadwiga drżąca i blada wsparła się o ścianę, aż po kilku minutach ten sam młody, piękny mężczyzna wszedł powtórnie do stancyi.

Tym razem ze śniadej twarzy przemawiała mu łagodność i dobroć; wszedł z odkrytą głową, panience ładnie się ukłonił i począł grzecznie przepraszać za przestrach, jakiego się stał przyczyną.

Panienka zażenowana i jakoś dziwnie ujęta postawą i wzrokiem nieznajomego, wahała się, co mu ma odpowiedzieć; nieznajomy to spostrzegł i sam pierwszy zaczął, oświadczając, że jest dłużnikiem starego Wawrzyńca, że oddawna dopytuje się o jego mieszkanie, i że teraz odszukawszy je, przychodzi uiścić 60 złotych, które jeszcze przed dwoma laty pożyczył.

— Ja nic otem nie wiem, odparło nieśmiało dziewczę: dziadzio chory i teraz śpi; więc jeżeli łaska, to proszę pofatygować się kiedyindziej.

— Panienka przyjmie teraz pieniądze; później przyjdę swoją drogą do dziadzia.

Dziewczę się zapłoniło, nie wiedziało, co ma odpowiedzieć, a młody człowiek położył pieniądze na stole i wyszedł, grzecznie się ukłoniwszy. Mimowolnie panienkę pociągnęło coś do okna, aby spojrzeć za odchodzącym; a widać niebardzo mu się śpieszyło, bo powolnie postępował ku bramie, i uniósłszy głowę do góry, szukał wzrokiem okien stancyjki Wawrzyńca na drugiem piętrze... wreszcie poszedł ku bramie. W bramie spotkał wchodzącą stróżkę; panna Jadwiga zauważała, że Marcinowej nieznajomy dał jakiś znak i pociągnął ja za sobą, że później taż Marcinowa poszła na podwórze i jakoś bardzo miała niesłodką minę, i że nakoniec skierowała kroki ku sieni prowadzącej do mieszkania Wawrzyńca!

— Marcinowo, kochana Marcinowo, a z kim to rozmawialiście przed chwilą za bramą? zapytało dziewczę pierwej, nim stróżka zdołała się przygotować na jakąkolwiek odpowiedź.

— Ja nie rozmawiałam, odpowiedziała stróżka zmieszana.

— Ja was tak kocham moja Marcinowo, tak wam się zwierzam ze wszystkiem, a wy mi w tej bagatelnej rzeczy prawdy powiedzieć nie chcecie.

— Kiedy ten pan, co wychodził, dał mi dwa złote, ażebym nikomu nie mówiła o tem, że zna Panienkę i że...

— I że co?

— Że nic... że chciałby panienkę i starego Wawrzyńca bliżej poznać.

Dziewczęciu rumieńce na twarz wystąpiły; to też nie mogąc ukryć swego wzruszenia poczęła uśmiechać się radośnie. Po chwili jednak dziewczyna zastanowiła się, zażenowała swego pierwszego uniesienia, i coś poważnie zaczęła w myśli rozbierać.

— Jak to Marcinowo, więc ten pan nie zna starego Wawrzyńca?

— Zna tylko panienkę; mieszka tu nie daleko Nowego-miasta, w jednej stancyjce na dole, i kilka razy widział pannę, jak szła do miasta i do kościoła; widział także, jak ja spotkawszy się z panną na ulicy, rozmawiałam z nią kilka razy, więc wypytywał to o to, to o owo i nareszcie wymógł, żem rozpowiedziała wszystko, co tylko wiem o pannie.

— A cóż on na to?

— On dziwnie się jakoś weselił, słysząc dobrze o was, a dziwnie się jakoś smucił, słysząc o waszej biedzie. Pytał mię, czy nie potrzebujecie pieniędzy; alem ja mu odpowiedziała, że jeżeli nawet potrzebujecie, to byście od nikogo nie przyjęli, boście równie ambitni jak biedni...

— O! tak Marcinowo, tak Marcinowo, my od nikogo jałmużny nie przyjmiemy, wyrzekła. Nie odmówisz mi poczciwa kobieto i pójdziesz odnieść temu panu pieniądze z listem, który zaraz napiszę. I usiadłszy, skreśliła te słowa:

Panie!

„Pieniądze odsyłam, bo zapewneś je pan przez omyłkę złożył na moje ręce, nibyto jako dług dla opiekuna sieroty, którego podobno nawet nie znasz. Chcę wierzyć temu, że

to jest omyłka; bo jeżeliś panie w myśli dopomożenia biednym to uczynił, to wiedz o tem, że ci biedni od nikogo nigdy nie przyjmowali, nie przyjmują i nie przyjmą łałmużny".

Stróżka list odniosła. Z jakiem uczuciem przeczytał go młody człowiek, co odpowiedział i czy odpowiedział, pomińmy na chwilę, a zobaczmy, co w tejże chwili gdzieindziej się działo.

(Dokończenie nastąpi).

Prawdy gospodarcze.

Pyt. Jak należy gnojowisko urządzać?

Odp. Obrać na to miejsce suche, osłonięte od południa budynkiem, albo drzewiną, a dla wody deszczowej porobić odcieki, żeby do gnojowiska nie zachodziła; gnój z obory za każdem wyrzuceniem równo układać.

Pyt. Co się jeszcze gospodarzowi na gnój przydać może?

Odp. Wszystko, coby inaczej zmarniało: błoto i śmiecie z podwórza, popiół z ogniska, kępiny i rumowiska:

Spłuczyny i domowe śmiecie
Na nawóz zdadzą się przecie.

Pyt. Jak się gospodarz powinien obchodzić z gnojem wywiezionym w pole?

Odp. Zaraz rozrzucić, niebawem brać pod skibę, osobliwie przegniły, bo marnieje bez przyorywki. Dlatego powiadają:

Jak pokryjesz gnojem rolę,
Ładuj potem pługi w pole.

Pyt. Czy dobrze jest trzymać na polu gnój długo na kupkach?

Odp. Bardzo źle, bo go słońce i wiatry wysuszają:

Gnoju w polu nie przybywa,
Lecz co pacierz to ubywa.

Pyt. Czy gospodarz powinien się starać o osuszenie gruntu mokrego?

Odp. Powinien, bo mokra rola chleba nie da:

I pracy człeka tam szkoda,
Gdzie na roli stoi woda.

Ale i to też wielkie marnowanie, kiedy kawał ziemi dla mokrości nic człowiekowi nie przynosi; a dałby dobry urodzaj, byle go jak należy osuszyć.

Pyt. Czy gospodarz powinien, choćby mu z tego nic nie przyszło, pomódz sąsiadowi do odprowadzenia wody?

Odp. Powinien, bo zasłania ludzi, bliźnich swoich od straty; z takim też będzie błogosławieństwo Boże:

Kto od szkody chroni braci,
Temu stokroć Pan Bóg płaci.

Pyt. Jakie ziarno powinno się brać do siewu?

Odp. Celne, zdrowe i czyste, czyli sucho zebrane, zdrowo przechowane, dobrze oczyszczone.

Pyt. Jak gospodarz powinien uprawę ugoru prowadzić?

Odp. Podorywki nie opóźniać, dalszej orki nie przynaglać, ale z pługiem i radłem iść w pole, kiedy chwasty zaczną puszczać:

Jak już zobaczysz rolę zieloną,
Dopiero ruszaj z pługiem i broną.

Pyt. W jakim gruncie siać należy pszenicę?

Odp. W żyznym i dobrze uprawnym od dawien dawna, a nigdy w chudym i zaniedbanym.

Pszenny kołacz lepiej smakuje i więcej ma sytości od żytniego chleba; ale też mówi stare przysłowie:

Bez pracy
Nie będzie kołaczy.

Prenumerta wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90— kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma, bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 13 (25) stycznia 1859/60 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*